

Szma Israel albo Kontrabasista



ICCHOK LEJB PEREC

OPOWIADANIA CHASYDZKIE I LUDOWE

Szma Israel *albo Kontrabasista*

TŁUM. MICHAŁ FRIEDMAN

W Tomaszowie, polskim miasteczku kongresowym, położonym niedaleko granicy z Galicją, pojawił się pewnego pięknego dnia nikomu nieznanym młodzieniec. Kim jest i skąd przybył, nikt nie wiedział. Nikt też nie miał pojęcia, gdzie spędza dni i gdzie nocuje. Od czasu do czasu cichcem podchodził do drzwi tego czy innego zamożniejszego Żyda i zapukawszy w nie, prosił o kawałek chleba.

A że napisane jest „że temu, który wyciąga rękę, należy dać” — dawali mu. Zwłaszcza że młodzieniec nigdy nie prosił ani o pieniądze, ani o jakieś przysmaki. Gdyby mu nawet je dawali, on by ich do ręki nie wziął. Jemu wystarczył kawałek suchego chleba. A skoro tak było, ludzie nie pytali go o to, kim jest i czym się zajmuje. Jedzenie należy się każdemu żywemu stworzeniu. Uwagę jednak ludzi wzbudził fakt, że jest trochę dziwny. Jakby był nie z tej ziemi. Nie interesuje się tym, co się wokół dzieje. Ciągłe wpatrzony jest w odległą dal. Zamiast poruszać brwiami, jak to czynią normalni ludzie, on porusza płatkami uszu. Wygląda na to, że pomimo panującej dookoła ciszy, odbiera jakieś sygnały z przestworu. Nic przeto dziwnego, że wskutek ciągłego patrzenia w dal i słuchania niesłyszalnych przez normalnych ludzi głosów był zawsze rozkojarzony, a może nawet trochę stuknięty.

Wystarczyło, żeby człowiek go o coś zagadnął, a on zaczynał natychmiast drżeć. Wydawał się obudzony ze snu. Sprowadzony nagle z innego, pozaziemskiego świata. Na zadawane pytania odpowiadał zazwyczaj krótko:

„Tak” lub „nie”. Gdyby chciał rozszerzyć odpowiedź, zaplątałby się w słowach jak w zastawionej sieci, z której nie udałoby mu się wyplątać. Tęgo się widocznie bał, bo przy każdym pytaniu oblewał się potem.

Czasami jakiś Żyd posyłał go do kogoś po coś. Znikał wtedy na kilka dni i wróciwszy po niewykonaniu polecenia, opowiadał jakieś smalone duby. Nic nie trzymało się kupy. Nie z lenistwa, broń Boże, nie wykonał polecenia. On po prostu był, jak zawsze, rozkojarzony.

— Czy spotkałeś człowieka, do którego cię posłałem kilka dni temu?

— Tak, ale dopiero dzisiaj.

— A co dzisiaj robiłeś?

Okazuje się, że po drodze spotkał małą myszkę, która nie mogąc odnaleźć swojej nory, rozpaczliwie piszczala. Potem coś z góry do niego zawołało. Był to podobno jakiś ptak. Przedtem zajął się płaczącą myszką, a potem pobiegł za głosem ptaka. Z tego to powodu dopiero dzisiaj dotarł tam, dokąd miał się udać. Słowem, nie pomagało nawet dokładne i wyraźne wyjaśnienie zadania. On po prostu albo zapomniał, albo nie rozumiał, co do niego mówią. Wszystko u niego wychodziło odwrotnie niż zamierzano. Uśmiechał się przy tym prostodusznie i naiwnie, po czym chudą rękę wyciągał po kawałek chleba, albowiem w ciągu tych kilku dni nic nie jadł.

W biednym miasteczku, w którym nie ma możliwości robienia interesów, lato składa się z pustych, długo ciągnących się dni. Ludzie tkwią w oknach, ziewają i gapią się na rynek, a nuż coś się na nim pojawi. Coś takiego, do czego można będzie się przyczepić.

I tak siedzi sobie przy oknie Żyd i patrzy w stronę rynku. Patrzy i nagle dostrzega naszego nieszczęsnego, obcego w tym mieście, młodzieńca. Z nudów przywołuje go do siebie. Już znalazł dla siebie robotę. Wszystkie muchy zdążyły już wylapać, to teraz znacznie rozmawiać z młodzieńcem.

- Chodź no tu, młody człowieku. Wejdz do mieszkania.
- Młodzieniec nie wykazuje ochoty. Skinieniem głowy odmawia.
- Po co? — pyta.
- Po to!

I nie doczekawszy się wejścia młodzieńca, sam do niego wychodzi. Siada na progu domu i powiada:

- Jak się nazywasz?
- Jak się nazywam? Abraham się nazywam. Tak przynajmniej mi się wydaje.
- Nie jesteś tego pewien?

Młody człowiek nigdy nie jest niczego pewien. Zresztą jak można być pewnym czegoś. Tyle rzeczy na świecie jest złudnych.

Indagujący go Żyd pęka ze śmiechu.

- A jakie masz przezwisko?

O przezwisku młodzieniec nie ma w ogóle pojęcia. Naiwnie pyta Żyda, czy każdy człowiek musi mieć przezwisko.

— Oczywiście, że musi. Przecież Abrahamów może być wielu. Łatwo wtedy o pomyłkę.

- No to co?
- Dobrze, powiedz mi, czy ty jesteś?
- Ojca.
- Jak się ojciec twój nazywa?
- Tato się nazywa.
- Gdzie twój tato mieszka?
- Tam, gdzie twój ojciec mieszka!

I mówiąc to, młodzieniec palcem wskazuje na niebo.

Żyd uśmiecha się kpiąco i powiada niby do siebie:

- No i udał się chłopak.

Ale dalej zadaje mu pytanie:

- A innego tatusia nie masz?
- Nie!
- A matkę?

- Czy koniecznie trzeba ją mieć?

Pokłada się Żyd ze śmiechu. Młodzieniec zaś grzecznie pyta go:

- Czy mogę już odejść?
- Poczekaj jeszcze chwileczkę. Skąd, mój mędrze, przyszedłeś?
- Ze wsi!
- Jak się ta wieś nazywa? Gdzie leży?
- Nie wiem.
- Czy daleko stąd?
- Szedłem, szedłem i szedłem.

Słowo „szedłem” powtarza wiele razy. Tak długo, aż wargi zaczęły mu omdlewać.

Na koniec dodaje:

- Szedłem i dalej jeszcze szedłem.
- Przez ile dni i nocy?
- Nie liczyłem.
- A modlić się umiesz?
- Modlić się? Co to znaczy?

Żyd musi mu to wytłumaczyć. Używa przy tym wielu słów, żeby ten wreszcie zrozumiał, o co chodzi. W końcu młodzieniec zaczyna się domyślać, o co pyta go Żyd i powiada:

- Chodzi o rozmowę z moim ojcem?
- Tak. O to właśnie chodzi.

Żyd stara się wypowiedzieć te słowa najszybciej, bo czuje, że zaraz wybuchnie śmiechem.

W końcu okazuje się, że młodzieniec zna słowa modlitwy *Szma Israel*¹. Żyd pyta go więc:

— Kto cię tego nauczył?

Na to młodzieniec odpowiada, że kiedy szedł ze wsi do miasta przez las, spotkał w nim starego człowieka. Ten powiedział mu, kto jest jego ojcem. Nauczył go też, jak rozmawiać z ojcem. Wystarczająco do tego słowa modlitwy *Szma Israel*. Na oświadczenie, że nie rozumie wyuczonych słów modlitwy, starzec zapewnił go, że ojciec w niebie zrozumie go. Co więcej, ucieszył się.

— Jak często rozmawiasz z ojcem?

— Dwa razy dziennie. Przy tym gram.

— Grasz? Na czym?

— Na czym popadnie.

We wsi grał zazwyczaj na źdźbłach trawy. Potem chłopci nauczyli go wyrabiać z drzewa fujarkę. Teraz gra tylko na niej.

— A gdyby ci podarowano skrzypce?

Na dźwięk tych słów oczy młodzieńca rozpromieniły się. Jakże pragnąłby mieć skrzypce. Takie skrzypce, na których grają klezmerzy² miastowi. Jeszcze bardziej chciałby grać na takim dużym instrumencie, który klezmer nosi na rzemieniu. Ojej, jak zagrałby na nim.

Żyd, słysząc jego zachwyty nad takim instrumentem, trochę kpiąco i trochę z ciekawości powiada do niego:

— Dobrze. Kupimy ci taki instrument pod warunkiem, że przedtem pokażesz nam, jak potrafisz grać.

Młodzieniec, nie zwlekając, wyciąga zza pazuchy glinianą fujarkę i zaczyna grać. I natchmiasł w górze pod samym niebem powstaje zgiełk. Ze wszystkich stron zlatują się gromady ptaków. I krążą wokół nad nim. Młodzieniec z uśmiechem na twarzy patrzy na krążące nad nim ptaki, po czym zadowolony chowa fujarkę za pazuchę.

Rozmawiający z nim Żyd tego wszystkiego nie widział, ponieważ nie zadał sobie trudu podniesienia twarzy ku niebu. Zresztą w tej samej chwili, kiedy rozległy się pierwsze dźwięki fujarki, wyszła za próg domu jego żona i tuż za nią służąca. W oknach pojawiły się też dwie małżeńskie pary. Na ich widok Żyd zapragnął popisać się swoją mądrością i przenikliwością w stosunku do młodzieńca. Zaczął go dalej pytać:

— Czym odżywiałeś się w lesie?

— Grzybami.

— A czym odżywiałeś się we wsi?

— Tym, co mi dawano.

— Kto ci dawał?

— Czasem chłop i czasem chłopka. Czasem ksiądz i czasem karczmarz.

— A co ci dawali?

Zadając to pytanie Żyd wstrzymuje na chwilę oddech. Teraz — myśli sobie — szydło wylezie z worka. Młodzieniec w swojej naiwności nie wyczuwa kpiny i szczerze odpowiada, że dawano to kapuśniak, to barszcz. Czasem mięso i czasem chleb. On jednak jadł tylko chleb. Inne rzeczy rozrzucił ptakom.

— Dlaczego tylko chleb?

— Bo tylko chleb lubię. Innego jada nie znoszę.

O to, co lubi jeść, zapytał go również stary człowiek w lesie. Odpowiedział tak samo. Lubi tylko chleb. Stary usłyszawszy jego odpowiedź, oświadczył, że go za to kocha i nauczył, jak rozmawiać z ojcem w niebie. On także pokochał starego.

Szma Israel odmawia z całą powagą dlatego, że tak mu stary nakazał.

— A gdyby ci nakazał kraść? — pyta go Żyd.

— To bym kradł!

— A gdyby ci kazał zabijać?

— To bym zabił! Ale on mi tego nie nakaze, ponieważ to dobry człowiek.

— Przypuśćmy, że kazałby ci zabić człowieka. Co byś wtedy zrobił?

¹*Szma Israel* — *Śluchaj Izraelu*, modlitwa, wyznanie wiary w jedyne Boga. [przypis tłumacza]

²*klezmer* — muzykant, grajek. [przypis tłumacza]

- Zabiłbym!
- I nie bałbyś się ojca swego?
- Czego miałbym się bać?
- Kary. Kary ze strony ojca.

Po raz pierwszy w czasie tej dość długiej rozmowy, twarz młodzieńca opromienił uśmiech.

- Pan chyba żartuje. Ojciec nie karze!

Tymczasem nastąpiła pora modlitwy *mincha*³. Rozległy się nawoływania do niej. Żyd szybko opuścił młodzieńca i pobiegł do bóżnicy, żeby między modlitwą *mincha* a wieczorną *maariw*⁴ opowiedzieć modlącym się, jak mądrze i chytrze wypytywał młodzieńca.

To, co miał im opowiedzieć, stałoby się niewątpliwie przedmiotem zainteresowania w miasteczku, gdyby tymczasem nie nastąpiło inne wydarzenie, które zaprzętnęło uwagę jego mieszkańców.

Gmina miała kapelę: dwoje skrzypiec, flet, klarnet, bęben i, jak to zwykle bywa, kontrabas. Biedna to była kapela. Grywała na weselach, trochę grosza zarabiała w święta Chanuka⁵ i Purym⁶. Czasem zdarzało się, że inne kapele były zajęte, więc pomniejsi dziedzice angażowali ją na swoje bale. Wysokim poziomem gry kapela się nie wyróżniała.

I oto w miasteczku wydarza się niecodzienny wypadek. Jest zima. Wczesnym rankiem miejscowa kapela wraca z balu jakiegoś pomniejszego dziedzica. Klezmerzy dostali na balu po sporym lyku wódki. Zakąski żadnej nie otrzymali. Musiała każdemu wystarczyć własna kromka chleba. Wracają teraz szybkimi krokami i podśpiewują, mruczą i przeklinają. Z tyłu za nimi wlecze się kontrabasista, który dźwiga najcięższy instrument. Z trudem udaje mu się wyciągnąć zapadające się w śniegu nogi. Jest już posunięty w latach i do tego chorowity. Ze wszystkich sił krzyczy do swoich kolegów, żeby go nie zostawiali. Żeby mu nie umknęli. Nikt go jednak nie słucha. Jego koledzy prą naprzód. Nie żałują sobie soczystych słówek. Obrzucają się nawzajem wiązkami przekleństw. Bo oto w środku drogi postanowili dokonać podziału zarobionych na balu pieniędzy. A całkiem trzeźwi, jak wiadomo, nie byli. Tymczasem pogoda się pogarsza. Wzmaga się wiatr, a za nim śnieżycy. Klezmerzy ze strachu szybko trzeźwieją. Przyspieszają kroku. Za chwilę już nie idą, ale biegną. Dotarli wreszcie do miasta i rozeszli się, każdy do swego domu. Z miejsca rzucają się na łóżko. Jak martwi na nie padają. Żeby tylko się przespać. Ale nic z tego. Kontrabasista, okazuje się, nie dotarł do domu. Jego żona podniosła gwałt. Biegnie od jednego do drugiego klezmera i krzykiem wyciąga ich z łóżka. „Gdzie jest mój mąż?” „Gdzie zostawiliście mego męża?”

Wyrwani ze snu klezmerzy, z których wódka do końca jeszcze nie wyparowała, zaczynają powoli przytomnieć. Kiedy wreszcie słowa żony kontrabasisty dotarły do ich świadomości, ogarnęła ich trwoga. Szybko wyskoczyli z łóżek i rozbiegli się szukać zaginionego kolegi. A tu śnieg i wszelki ślad po drodze lub ścieżce zaginął. Cała ziemia pokryta bielą. Opatulona w biały całun ze świeżego, niewinnego śniegu.

Jak tu znaleźć zagubionego kontrabasistę? Szukaj w polu wiatru.

Toteż daremne są poszukiwania. Wracają do domu z pustymi rękami. Tli się w sercach iskra nadziei, że — być może — kontrabasista poszedł po rozum do głowy i po drodze schronił się w jakiejś wiejskiej chacie.

Mija dzień. Mija jeszcze jeden dzień i mróz puszcza. Śnieg zaczyna topnieć. Jest piątek. Ludzie dla uczczenia soboty śpieszą do łaźni. Tu nie milkną rozmowy na temat zaginionego. Ale nikt nic nie wie. Dotychczas nie napłynęły nowe wieści. I nagle w samo południe na rynek zajeżdża chłopska furmanka, a na niej zamarznięty na śmierć kontrabasista.

³*mincha* — modlitwa popołudniowa. [przypis tłumacza]

⁴*maariw* — dosł.: zmierzch; nazwa modlitwy wieczornej. [przypis edytorski]

⁵*Chanuka* — święto obchodzone przez osiem dni na cześć odnowionej świątyni i zwycięstwa nad greckimi okupantami. [przypis tłumacza]

⁶*Purym* a. *Purim* — święto upamiętniające cudowne ocalenie Żydów, których Haman, minister na dworze perskiego króla, postanowił zgładzić. [przypis tłumacza]

Szybko, żeby tylko zdążyć przed zapaleniem sobotnich świec, chowają nieboszczyka.

Pozostała po nim wdowa z pięciorgiem małych dzieci. Wieczorem następnego dnia, tuż po tym, jak sobota dobiegła końca, zwołane zostaje zebranie klezmerów w budynku gminy. Zarząd kahału⁷ nie posiada funduszu. Chce, żeby klezmerzy obeszli się bez kontrabasisty i żonie zmarłego płacili regularnie ze swoich zarobków. Klezmerzy protestują przeciwko temu. Kapela — twierdzą — bez kontrabasisty nie jest kapelą.

Na żydowskich weselach można za zezwoleniem kahału obejść się bez kontrabasisty, ale żaden dziedzic nie ruszy w tan, jeśli w kapeli zabraknie kontrabasisty...

Na to obecny na zebraniu rabin oświadcza, że ratowanie Żyda od śmierci jest ważniejsze od pańskiego tańca. Wybaczają rabin, powiadają klezmerzy, ale szanowny rabin nie zna się na muzyce. Na te słowa rozległ się krzyk: „łobuzy!”.

Wtedy nasz znajomy Żyd, który tak dociekliwie wypytywał młodzieńca, uderzył ręką w stół i zawołał:

— Cicho, moi panowie! Znam właśnie młodzieńca, który pragnie grać na kontrabasie. Jestem pewny, że potrafi to dobrze zrobić. Ożeńmy tego młodzieńca z wdową, a wtedy wilk będzie syty i owca cała, gmina zaś nie poniesie żadnych kosztów.

Może powiedział to żartem, ale członkowie zarządu gminy z rabinem z jednej strony i klezmerzy z drugiej strony uchwycili się jego rady jak tonący brzytwy. Zgodę wyraziła również wdowa oraz sam Abraham. I szybko, nie zwlekając, tegoż miesiąca odbyło się wesele.

I tak w sposób nieoczekiwany Abramek znalazł się w posiadaniu żony, pięciorga małych dzieci i kontrabasisty ze smyczkiem.

Z żoną żyje w zgodzie. Do mieszkania nie wchodzi. Nocuje pod drzwiami. Całymi dniami włóczy się po okolicy. Nie wiadomo dokładnie, gdzie. Zjawia się tylko wtedy, kiedy odbywa się bal u dziedzica albo jakieś weselisko w mieście. Przychodzi wtedy grać. Kiedy jest głodny, puka w okno domu żony. Ona podaje mu pądkę chleba, on szybko chwytą ją i natychmiast znika. Zjawia się, kiedy znowu poczuje głód.

Na pytanie sąsiadki, czy jest jej dobrze w małżeństwie odpowiada z uśmiechem:

— Jestem szczęśliwa. Jest mi tak dobrze, że lepiej już być nie może.

Bo czego potrzeba starej Żydówce? On nie pije. Złego słowa od niego nie usłyszy. Co do rachunków z kapelą, ona je prowadzi. Zapłatę za jego grę ona pobiera. Jednym słowem, niczego jej nie brakuje.

Wygląda na to, że Abramkowi też niczego nie brakuje. Z początku miał pewne kłopoty z pozostałymi klezmerami, ponieważ nie zawsze udawało mu się wpaść ze swoją grą na właściwą tonację. On na swoim kontrabasie grał sobie a muzom... Wtedy klezmerzy przestawali grać, ale Abramek grał swoją melodię, jakby wtórował innej zupełnie kapeli. Kapeli grającej gdzieś daleko, daleko stąd. Kapeli, której gry oprócz niego nikt nie słyszał. Z upływem czasu klezmerzy jakoś przyzwyczaili się do niego. Grając na balu u dziedzica wiedzili z góry jak i co mają z nim zrobić. Tuż przed zakończeniem gry do jakiegoś tańca jeden z klezmerów szybko wyrwał mu z rąk smyczek. Na żydowskich weselach zaś naumyślnie pozwalali mu dalej grać i wtedy ludzie pękali ze śmiechu. W ten sposób goście weselni mieli dodatkową uciechę.

Zarząd gminy był z Abramka zadowolony. Ten siedział zawsze obrócony twarzą ku ścianie, żeby nie patrzeć na kobiety. Ze stołu biesiadnego niczego do ust nie brał. Kromkę chleba miał zawsze przy sobie. Nikt jednak nie widział go jedzącego. Do wzywiania ludzi do nabożeństwa zarząd gminy mógł z niego zamiast szamesa⁸ korzystać przez cały rok. Normalnie szames stukaniem młotem w bóżnicę wzywał Żydów do modlitwy *chacot*⁹.

Rano i wieczorem wygrywał swoje *Szma Israel* na łące, nad rzeką płynącą za miastem. O północy zaś na środku rynku. Dźwięki jego kontrabasisty przerywały nocną ciszę, wdzierając się przez zamknięte okiennice i drzwi do wnętrza mieszkań i wnętrza ludzkich serc. I wyczuwało się w tych dźwiękach niezwykle czystą ufnosć. I tego, kogo szames stukający młotem w bóżnicę nie zdołał obudzić, podrywały dźwięki kontrabasisty Abramka. Ludzie więc, chcąc nie chcąc, zrywali się z łóżek, żeby przystąpić do Bożej służby. Zapalali świece i w te pędy biegli do bóżnicy, odmawiać modlitwę *chacot*.

⁷kahal — gmina żydowska, może również oznaczać zarząd gminy. [przypis tłumacza]

⁸szames — służba w bóżnicy, woźny. [przypis tłumacza]

⁹chacot — dosł.: północ; modlitwa odmawiana o północy. [przypis tłumacza]

Czasami zdarzało się, że podczas tańca panicz zostawiał partnerkę i poirytowany podbiegał do Abramka, żeby wyrwać mu pejs lub włos z brody. Wściekł się, bo Abramek wpadł swoim kontrabasem w niewłaściwą tonację tanecznej melodii. Żydzi na weselach lub innych uroczystościach przy takich okazjach śmiali się i pokpiwali z Abramka, ale budzeni przez cały rok jego grą nawołującą do *chacot*, wdychali i powiadali:

— Nieszczęsny głuptas, ale w jego grze coś ważnego tkwi. Coś musi tkwić.

Niektórzy zaś wyrażali swoje zdanie w taki sposób:

— Nieszczęsna z niego istota. Nie potrafi mówić, ale chce rozmawiać z Bogiem.

Pewnego razu odbyło się w Tomaszowie wielkie wesele. Takie wesele zdarza się raz na pięćdziesiąt lat. Okazja bowiem była nie lada. Oto rabin z Krakowa żenił syna z córką parnasa¹⁰ z Lublina. W środku drogi między Krakowem a Lublinem leży Tomaszów. Wymarzone miasto dla tego wesela.

Parnas z Lublina chciał olśnić krakowskiego rabina przepychem przygotowanego przez siebie wesela. Niech wie — myślał w duchu — z kim wchodzi w związek rodzinny.

W tym celu polecił wytoczyć z piwnicy beczkę złotych na koszt wesela. Zawczasu wyprawił do Tomaszowa grupę kelnerów i służących, żeby wszystko przygotowali z rozmachem. Z przepychem godnym króla. Tak jak przystoi lubelskiemu bogaczowi, który doznał szczęścia spokrewnienia się z krakowskim rabinem.

Przybyli więc z Lublina kelnerzy i służdy i zabrali się do wyszukania odpowiednio dużego lokalu, w którym miałyby się odbyć wesele.

A gości będzie co niemiara. Z Lublina, Krakowa i rzecz jasna z Tomaszowa. Będą to Żydzi bogaci i nobliwi. Uczni w *Piśmie*, rabini i sędziowie.

I trzy kapele będą grały: lubelska, krakowska i tomaszowska. Ta ostatnia też jest dobra i koniecznie chce grać na tak wspaniałym weselu.

Tuż za miastem stoi ogromna szopa, w której zimą suszyło się drewno, które kupcy spławiali do Gdańska. Teraz załadowane nim barki płyną już Wisłą. Na koszt lubelskiego parnasa wynajmują kelnerzy tę właśnie szopę. Istną arkę. Zamawiają u malarzy obrazy, które potem zawieszają na ścianach szopy. Dekorują szopę zwisającymi z sufitu girlandami tak, że przypominają gałęzie w Szalasie podczas święta Sukot¹¹. Ustawiają w szopie-arce rzędy stołów. Oddzielne dla mężczyzn i kobiet.

Na ścianach szopy zawieszają też lampiony z papieru. Szopa jest ogromna. Zmieści się w niej co najmniej czterdzieści minjanów¹². Jest kilka wejść do szopy. Jedno dla kobiet, drugie dla kelnerów i obsługi i trzecie dla muzykantów. Do środka prowadzi duża brama, na której namalowana jest korona *Tory*¹³. Ta brama przeznaczona jest dla krakowskiego rabina i co nobliwszych gości.

I oto nastał dzień wesela. Gości wciąż przybywa. Rozmieszczają się u miejscowych co zamożniejszych gospodarzy. Każdy z tomaszowian poczytuje sobie za zaszczyt gościć przyjezdnych. Udostępniają im swoje najładniejsze pokoje.

Jest wieczór. Wszyscy siedzą już przy stołach. Świece w świecznikach zostały zapalone. I płomień świec zmieszane ze światłami bijącymi z papierowych lampionów, z błyskiem złotych kolczyków, diademów i broszek noszonych przez kobiety wypełniły całą szopę wielką jasnością. Światłością *Tory*. Światłością uczonych w *Piśmie* z Lublina, Krakowa i Tomaszowa.

Na honorowym miejscu siedział rabin z Krakowa.

I oto szereg kelnerów uwija się już wśród stołów, niosąc półmiski z rybą. Dźwięczą noże i widelce pośród radosnego gwaru kobiet.

I wśród dźwięku sztuców i szumu gwarzących rozlegają się słowa uczonych przy stole krakowskiego rabina. Rozprawiają o *Torze*. Nagle w tok ich rozmów wpada muzyka. Trzy

¹⁰parnas — starosta żydowskiej gminy. [przypis tłumacza]

¹¹Sukot — Święto Szalasów; trwa siedem dni; w tym czasie Żydzi jedzą i śpią w szalasach, tak jak ich przodkowie podczas Exodusu. [przypis tłumacza]

¹²minjan — dziesięciu dorosłych Żydów niezbędnych przy odprawianiu uroczystości lub publicznej modlitwy. [przypis tłumacza]

¹³Tora — Pięćksiąg; pierwsze pięć ksiąg *Starego Testamentu*, zwanych też księgami Mojżeszowymi, zawierających tzw. prawo Mojżeszowe, tzn. ilustrujących powstanie prawa wydarzeniami historycznymi lub uważanymi za historyczne, opisujących genezę i rozwój prawa; korona *Tory* (hebr. *Keter Torá*): jedna z zewn. ozdób zwoju *Tory*, srebrna a. złota korona symbolizująca Boga, zwieńczenie życia pobożnego wyznawcy judaizmu (szczególnie na nagrobkach), a także uznanie najwyższej władzy, świętości i mądrości *Tory*. [przypis edytorski]

kapela na raz zagrały coś wesołego. I płomienie świec na stołach, i światełka umieszczone w lampionach zaczynają pod wpływem muzycznych fal radośnie drgać. Oparty o poręcz krzesła krakowski rabin rozplywa się w rozkoszy, słuchając gry kapel. Na muzyce znał się jak nikt.

Tymczasem klezmerzy przechodzą z wesołej do poważnej melodii. Przechodzą w sposób prawie niezauważony. Jakby cicho przepłynęli przez rzekę.

Skrzypce krakowskie grają tak przejmująco, że wydaje się, iż przemawiają słowami. Otwierają się serca słuchaczy i muzyka wlewa się w nie. I trzy kapela podtrzymują te skrzypce. I wydaje się, że to rzeka płynie, że to sama Wisła pełnowodna wylewa się z brzegów. Kołysze się w takt i szumi miarowo na cześć nowożeńców i krakowskiego rabina. I nad Wisłą fruwa ptak. Przecudowny ptak, który śpiewa. Wdzięcznie, słodko i płacząco śpiewa.

I wybuchają okrzyki zachwytu. Radosne i podniosłe okrzyki. Takie, na jakie zasługuje wielkie radosne wesele. I choć ogromna radość panuje w szopie, nie wolno zapomnieć w diasporze o tym, że *szechina*¹⁴ jest w niewoli.

Wybuchają znowu przerwane na chwilę wybuchy radości. Przecież to wielkie, niecodzienne wesele. Tyłu uczonych mężów z krakowskim rabinem na czele zebrało się w tej szopie. I świąteczny panuje tu nastrój. I kapela, jakby porwana tym nastrojem, nagle zaczęły znowu grać. Tym razem głośniejszą, wyżej. Jakby starały się wspinać po drabinie, coraz wyżej w górę.

I wszystko dookoła błyska, tańczy, szumi. I raptem wszystko urywa się. Jakby nagle wszystkie struny w instrumentach pękły. Zalega cisza. I oto w tej kompletnej ciszy rozlegają się dźwięki kontrabas: bu, bu, bah. To Abramek gra. Oczy wszystkich kierują się ku jego palcom. Nikt nie porusza nawet brwiami. Jedną tylko ręką Abramka wodzi smyczkiem po kontrabasie.

To klezmerzy zrobili mu kawał. Chcieli jego kosztem zabawić weselną gości. Ale kawał nie bardzo był udany.

Muzyka, Modlitwa,
Artysta, Pobożność

Klezmerzy patrzą na gości. Czekać na wybuch śmiechu. Goście weselni jednak wbijają wzrok w Abramka, po czym kierują spojrzenie w stronę rabina z Krakowa. W jego obecności nikt nie odważy się śmiać. Prawda, że w oczach błyskają im iskry śmiechu, że wargi im się skręcają od hamowania śmiechu, ale muszą się powstrzymać. Muszą zobaczyć, jak się zachowa rabin z Krakowa. A ten, oparty o poręcz krzesła, ze sztrajmłem¹⁵ na głowie, opuścił powieki na oczy. Czyżby drzemał?

A kontrabas dalej gra swoje.

— Bu, bu, buh, buhh.

I jakoś wszyscy poczuli się nieswojo.

Raptem rozlega się zgiełk za środkowymi drzwiami. Wszyscy zwracają oczy ku nim. Wyraźnie słychać tupot zbliżających się kroków. Kelnerzy w mig podbiegają do drzwi. Otwierają je i ogarnięci strachem zaczynają krzyżeć:

— Nie! Nie! Dla was, biedaków, będzie oddzielna uczta.

Biesiadnicy domyślają się, że to żebracy chcą wejść do szopy. Rabin z Krakowa otwiera oczy i chce coś powiedzieć. Chyba chce powiedzieć, żeby ich wpuścili, bo co innego?

I oto w drzwiach staje starzec w podartym ubraniu. Włosy na głowie ma rozwichrzone. Broda i pejsy siwe. Żebrak. Typowy nędzarz. Z jego oczu jednak bije blask królewskiej wielkości. I ruchy rąk ma władcze, królewskie. Kelnerzy są przerażeni. Unikają jego wzroku. Z szacunkiem ustępują mu z drogi. Niechący tworzą szpaler.

I starzec odziany w lachy najędźniejszego z nędzarzy, o ruchach królewskiego władcy wchodzi w szpaler. W środku szopy zatrzymuje się. Za nim stoi już cała wataha żebraków. Biesiadnicy siedzą zastygli w milczeniu. Także rabin z Krakowa siedzi nieporuszony i milczy. Tylko Abramek robi swoje. Widać, jak przez jego plecy przechodzi drżenie, jak ręką wodzi smyczkiem po strunach kontrabas, a ten stęka tęsknie i czule:

— Bu, bu, buk, bukh.

¹⁴*szechina* — Boska obecność, Duch święty. [przypis tłumacza]

¹⁵*sztrajmł* — kapeluszek z lisim otokiem noszony w dni uroczyste przez chasydów. [przypis tłumacza]

Po chwili milczenia stary król w żebraczym stroju otwiera usta. Wszyscy wbijają w nie wzrok. Biesiadnicy z innych stołów stoją na czubkach palców, by lepiej widzieć i słyszeć.

I starzec wypowiada jedno słowo! *Chacot*.

Po chwili zaś zwraca się do rabina z Krakowa:

— Rabinie! To Abramek przygrywa do *chacot*. Widzę, że nie wierzysz w to, więc posłuchaj... Aby zasłużyć na usłyszenie grającego na *chacot* Abramka sądzonym ci było wejść w związki rodzinne z lubelskim parnasem, a Tomaszowowi sądzonym było znaleźć się w połowie drogi — między Krakowem i Lublinem. Dzięki zaś tobie wszyscy goście mają okazję posłuchać gry Abramka. Niestety, nie odbiorą jego muzyki tak jak ty, bo z ciebie jest prawdziwy znawca muzyki.

— Bu, bu, buh, buh — wygrywa dalej Abramek. I naraz wszyscy słuchają go zastygli w zachwycie, jakby zaczarowani. Stary żebrak podnosi ręce i daje jakiś znak sufitowi szopy. I dach w jednej chwili pęka na dwie połówki. Jedna połówka opada na prawą stronę, a druga na lewą. Jakby dwa skrzydła w szalasiole ze święta Sukot. I w górze pojawia się usiane migoczącymi gwiazdami niebo.

Przez szeroki otwór powstały w szopie po pęknięciu dachu widać, jak księżyc sumie po niebie. I kiedy bezszelestnie przepłynął nad otwartą szopą, stary żebrak jeszcze raz skinął ręką i niebo także rozstąpiło się. Widać niezmierny przestwór światłości. I z tej światłości, która drga i kołysze się, słychać śpiew i grę. To Niebiańskie Zgromadzenie odprawia *chacot*. Anielskie chóry śpiewają. Anielskie kapele śpiewają i grają tę samą melodię, którą gra Abramek. I Abramek wtóruje na kontrabasie temu niebiańskiemu śpiewowi i grze. I płynie razem ze swoją grą w tej niezmiernie światłości, która drga i kołysze się na wysokościach.

Zastygły w milczeniu tłum stoi, słucha i drży.

I jeszcze raz skinął starzec ręką w stronę nieba, a ono natychmiast zamknęło się. Umilkła muzyka. Gwiazdy płyną po firmamencie. Migoczą, błyskają i drżą. Drżą z radości. Cichej i smutnej radości.

I znowu starzec machnął ręką i obie połówki dachu szopy zrosły się w jedno.

Ludzie nadal nie ruszają się z miejsca. Zastygli i skamienieli. Nie słychać, jak oddychają. Ale zaraz rozległy się znowu dźwięki kontrabas Abramka.

— Bu, bu, buh, buhh.

I nagle z rąk Abramka wypadł smyczek. Wstał, obrócił się twarzą ku biesiadnikom i wyrzekł słowa: *Szma Israel*. I wyrzekł je w tej samej tonacji, w jakiej grali w niebiosach. Gdy skończył, zemdlał. Byłby już upadł, gdyby go nie pochwycił stary żebrak, który zawołał do kelnerów:

— Zabierzcie go natychmiast do szpitala!

Ci wzięli Abramka i wynieśli z szopy. Wtedy starzec zwrócił się do rabina z Krakowa:

— Rabinie, okazuje się, że przyjechałeś nie na wesele, ale na pogrzeb. Abramek powołany został do Najwyższego w niebie. Brakuje tam kontrabasisty.

Powiedziawszy to, starzec wraz z żebrakami ulotnił się jak kamfora.

A dalej sprawa się tak potoczyła:

Następnego dnia Abramek zmarł w bóżnicy. Krakowski rabin razem ze wszystkimi gośćmi uczestniczyli w jego pogrzebie.

Co zaś się tyczy starca, to chodzą słuchy, że był to Lejb, syn Sary, ale jest to tylko przypuszczenie.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa - Na Tych Samych Warunkach 3.0.PL.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/perec-opowiadania-chasydzkie-i-ludowe-szma-israel-albo-kontrabasista>

Tekst opracowany na podstawie: Icchok Lejbusz Perec, Opowiadania chasydzkie i inne, tłum. Michał Friedman, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1997.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Fundację im. Michała Friedmana. Dofinansowano ze środków Programu Archiwistyka Społeczna Narodowego Instytutu Audiowizualnego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Wojciech Kotwica.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.